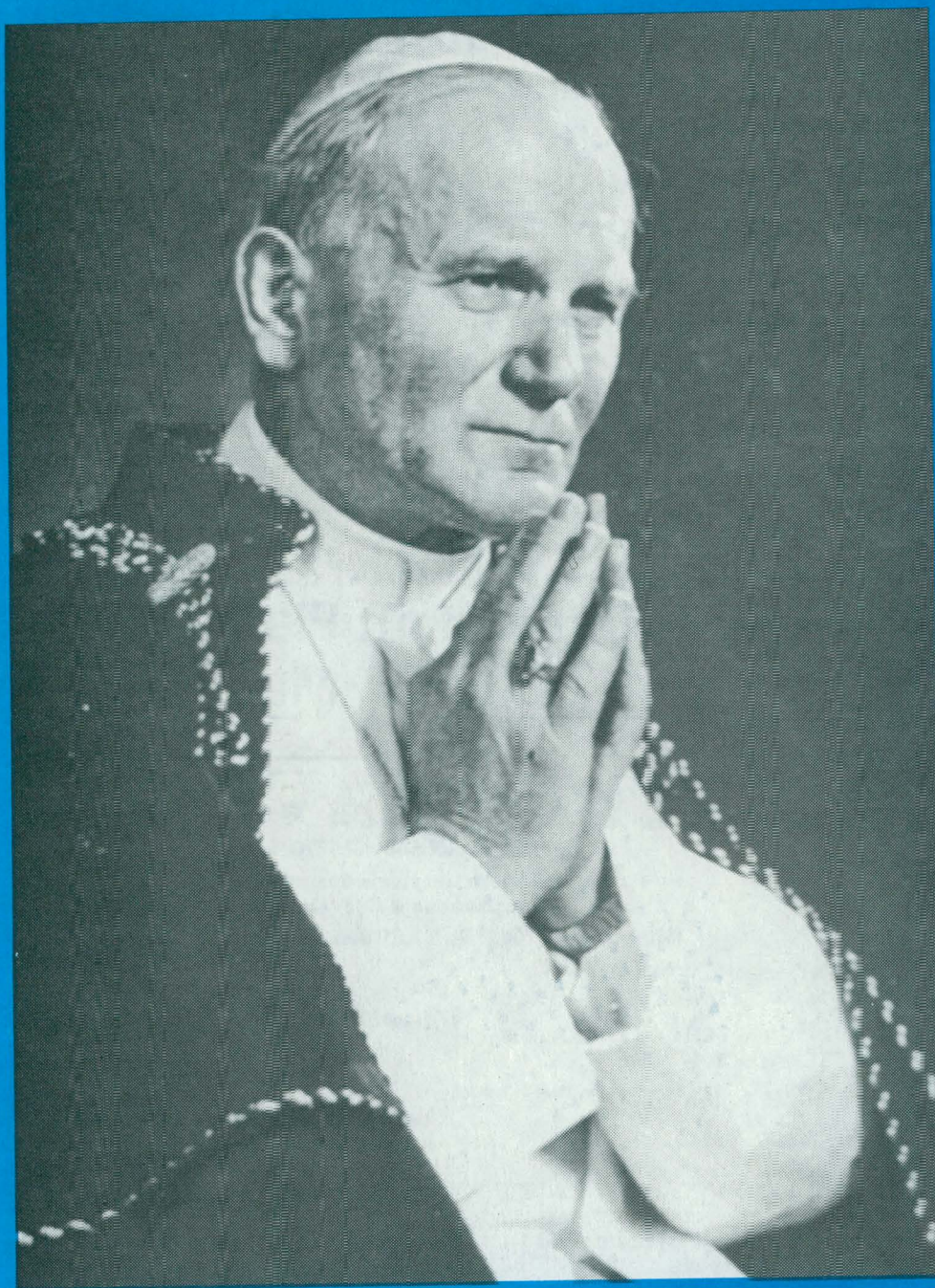


WETERAN

NR 741 VOLUME LXIII

CZERWIEC — JUNE, 1983

COPY 50 ¢



"WETERAN" jest dla mnie niezastąpionym łącznikiem z kolegami-towarzyszami broni z obu wojen światowych. Opisy z imprez Okręgów i Placówek świadczą, że jesteśmy wciąż prężną organizacją, co mnie, weterana Armii Błękitnej, założyciela kilku Placówek i delegata 1 Krajowego Zjazdu SWAP napawa dumą.

Coroczną daniną na wydawnictwo pragnę podkreślić konieczność utrzymania "WETERANA" jako niezbędnego łącznika naszej weterańskiej rodziny.



Julian Krasnodębski
Komendant Placówki 123
Maspeth, N.Y.

ATLAS SAVINGS

AND LOAN ASSOCIATION

Polsko-Amerykańska Instytucja Oszczędnościowa,
zorganizowana w 1900 roku

689 - 5th Ave. (róg 21 St.), BROOKLYN, N.Y. 11215



5½% KONTA OSZCZĘDNOŚCIOWE

MINIMALNE KONTO OSZCZĘDNOŚCIOWE — \$500.00.

6½% do 8% OD TERMINOWYCH CERTYFIKATÓW
OSZCZĘDNOŚCIOWYCH

Na rok lub 2 lata — 6½%; na 2½ do 3 lat — 6¾%; na 4 lub 5 lat — 7½%;

na 6 i 7 lat — 7¾%; na 8 i 9 lat — 8%.

DYWIDENDA DOPISYWANA KWARTALNIE

Federalne prawo przewiduje poważne zniżki procentowe przy wybieraniu pieniędzy z certyfikatu przed końcem terminu.

GODZINY BIUROWE: od wtorku do piątku, w godz. od 9 rano do 3 popoł.;

w poniedziałki — od 9 rano do 7 wieczorem, bez przerwy.

OSZCZĘDNOŚCI WASZE SĄ ZABEZPIECZONE DO \$100.000 przez "Federal Savings and Loan Insurance Corporation"

ZALATWIAMY SPRAWY BANKOWE PRZEZ POCZTĘ

W Atlas Savings zawsze możecie rozmówić się po polsku.

Official
Organ
of the
Polish Army
Veterans
Ass'n
of America

WETERAN

VETERAN

Urzędowy
Organ
Stowarzyszenia
Weteranów
Armii
Polskiej
w Ameryce

PUBLISHED MONTHLY BY
THE POLISH ARMY VETERANS ASS'N

All correspondence should be mailed to:
Maine Office: 17 Irving Place
New York, N.Y. 10003
Telephone (212)476-5585



Second class postage paid at

New York, N.Y.

Subscription in America \$5.00 per year
in Europe \$6.50 per year

NR 741 VOL LXIII

CZERWIEC — JUNE, 1983

COPY 50 ¢

JEGO ŚWIĄTOBLIWOŚCI JANOWI PAWŁOWI II

Z OKAZJI

DZIEJOWEJ PIELGRZYMKI DO OJCZYZNY
WYRAZY HOŁDU ORAZ NAJSZCZERSZE ŻYCZENIA,
ABY PODRÓŻ TA PRZYCZYNIŁA SIĘ
DO REALIZACJI MARZEŃ NARODU
O WOLNEJ I NIEPODLEGŁEJ POLSCE

SKŁADAJĄ

ZARZĄD GŁÓWNY SWAP
WRAZ Z KORPUSEM POMOCNICZYM PAŃ
I ZWIĄZKIEM PRZYJACIOŁ WETERANA

POLSKA WITA PAPIEŻA

16 czerwca przybył do Polski z drugą pielgrzymką pokoju Ojciec święty Jan Paweł II.

“Przybywam do ojczyzny. Pierwszym słowem, wypowiedzianym w milczeniu i na klęczkach, był pocałunek tej ziemi, mojej ojczystej ziemi. Idąc za wzorem Pawła VI, czynię to na początku każdej wizyty duszpasterskiej przez cześć dla samego Stwórcy oraz synów i córek ziemi, na której przebywam. Pocałunek złożony na ziemi polskiej ma jednak dla mnie smak szczególny. Jest to jakby pocałunek złożony na ręce matki... Albowiem ojczyzna jest naszą matką ziemską.”

Słowa powyższe padły z ust papieża na warszawskim lotnisku Okęcie.

Witany przez setki tysięcy ludzi, Ojciec św. zszedł po stopniach samolotu papieskiego, po czym ukląkł i ucałował ojczystą ziemię. Aktowi temu towarzyszyła pieśń religijna w wykonaniu chóru, którego członkowie ubrani byli w stroje ludowe.

Na lotnisku udekorowanym biało-czerwonymi flagami oraz flagami w barwach papieskich, powitało Ojca św. duchowieństwo polskie z prymasem kardynałem Józefem Glempem na czele, oraz przedstawiciele władz PRL z Henrykiem Jabłońskim.

W czasie spotkania w Belwederze, historycznym pałacu, będącym dzisiaj siedzibą przewodniczącego Rady Państwa, z przedstawicielami najwyższych władz państwowych, na czele z gen. Jaruzelskim, premierem rządu PRL, pierwszym sekretarzem partii i przewodniczącym WRON, Ojciec św. w zdecydowanych, choć nie wykraczających poza język dyplomatyczny, sformułowaniach dał wyraz swemu potępieniu stanu wojennego oraz niepokoju o dalszy rozwój sytuacji w Polsce. Papież wezwał do dialogu opartego o umowy społeczne, zawarte w sierpniu 1980 roku.

Pierwszy dzień pobytu papieża Jana Pawła II w Warszawie zakończył się pokojową demonstracją, ocenioną jako jedna z największych od czasu ogłoszenia w Polsce stanu wojennego. Wielotysięczne rzesze, zebrane na placu Zamkowym oraz na ulicach Starego Miasta, by wysłuchać mszy odprawianej przez Jana Pawła II w katedrze Św. Jana, po zakończeniu nabożeństwa nie rozeszły się, lecz uformowały pochód, który przeszedł Krakowskim Przedmieściem, wznosząc zarówno okrzyki na cześć Ojca św., jak również hasła “Solidarność”. Demonstracja, w której udział wzięło ok. 20 tysięcy osób, miała charakter pokojowy; jej uczestnicy podkreślali to wyraźnie, skandując okrzyk: “Bez prowokacji”. Wśród wznoszonych haseł dominowało słowo “Solidarność”, nazwisko Lecha Wałęsy oraz zdanie: “Papież z nami”. Mimo



wcześniejszych ostrzeżeń, że w razie jakichkolwiek demonstracji siły porządkowe przystąpią do działania, nawet gdyby miało się to stać w obecności Ojca św., licznie zgromadzona na trasie pochodu milicja nie interweniowała.

Po przejściu Krakowskim Przedmieściem demonstranci, głównie młodzi ludzie, w spokoju rozeszli się do domów.

O papieskiej wizycie w Polsce pisac będziemy także w następnym numerze “Weterana”.

PRZEMÓWIENIE OJCA ŚWIĘTEGO W BELWEDERZE

Szanowny panie generale, szanowny panie przewodniczący Rady Państwa, szanowni panowie!

“Polska dostatnia i szczęśliwa w interesie pokoju i dobrej współpracy między narodami Europy.”

Pozwalam sobie rozpocząć moje przemówienie od tych samych słów, od których rozpocząłem w tymże samym Belwederze w czerwcu 1973 roku podczas moich poprzednich odwiedzin w ojczyźnie. Powtarzam te słowa, ponieważ

wypowiedział je wielki przyjaciel Polski, papież Paweł VI, któremu Kościół w naszej ojczyźnie zawdzięcza doniosłe dzieło normalizacji na ziemiach północnych i zachodnich. Powtarzam je również dlatego, ponieważ słowa te odzwierciedlają jakby stałą kwintesencję tego, co Stolica Apostolska myśli o Polsce i czego Polsce życzy.

Ten sposób myślenia posiada doniosłe znaczenie na tle naszej trudnej przeszłości historycznej, poczynając zwłaszcza od końca XVIII wieku. Właśnie na tle rozbiorów Polski myśl, że Polska dostatnia i szczęśliwa leży w interesie pokoju i dobrej współpracy między narodami Europy, była postulatem moralności międzynarodowej jak też zdrowej europejskiej racji stanu. Ta myśl ponad sto lat musiała sobie torować drogę poprzez przeciwne nasze niepodległości imperializmu, aby wreszcie po zakończeniu I wojny światowej znaleźć wyraz w traktatach pokojowych. Naród polski żywi stałą wdzięczność dla tych, którzy wówczas byli rzecznikami jego niepodległego bytu na Zachodzie i na Wschodzie.

Kiedy znajdujemy się w Warszawie, stolicy Polski, pamięć tych wszystkich doświadczeń dziejowych szczególnie odżywa. I dlatego też stale pozostają doniosłymi słowa Pawła VI, które stwierdzają nie tylko to, że Polska ma prawo do suwerennego bytu państwowego, ale także, że jest na swoim miejscu potrzebna Europie i światu.

Paweł VI w przytoczonych przeze mnie słowach podkreśla, że Polska leży w interesie pokoju i dobrej współpracy między narodami Europy. Stwierdzenie to posiada pełną wymowę na tle II wojny światowej, która była największym w tym stuleciu naruszeniem pokoju, przede wszystkim na kontynencie europejskim. Polska znajdowała się w samym centrum straszliwych doświadczeń tej wojny. Za swoje prawo do suwerennego bytu zapłaciła sześcioma milionami swych obywateli, którzy złożyli ofiarę życia na różnych frontach wojny, jej ziemiach i obozach zagłady. Za bardzo wielką cenę naród polski potwierdził swoje prawo do tego, aby być suwerennym gospodarzem na ziemi, którą dziedziczy po praojcach. Pamięć straszliwych doświadczeń wojny, które stały się udziałem Polaków i innych narodów w Europie, przynagła do ponowienia gorącego apelu na rzecz pokoju, aby nie był on zakłócony lub narażony na niebezpieczeństwo, a w szczególności — aby jak najszybciej w sposób skuteczny zastosowane zostały środki zaradcze, to znaczy rzetelne i konstruktywne negocjacje dla zażegnania groźnego wyścigu zbrojeń.

Przybywając do Polski mam przed oczyma całe tysiąclecie jej dzieje. Przede wszystkim doświadczenia tego stulecia, które są związane również z moim własnym życiem.

Pragnę bardzo podziękować najwyższym władzom państwowym za zaproszenie do ojczyzny, przekazane mi przez pana przewodniczącego Rady Państwa.

Przybywam do mojej ojczyzny jako pielgrzym w związku z jubileuszem Jasnej Góry. Przybywam, ażeby być z moimi rodakami w szczególnie trudnym momencie dziejów Polski po II wojnie światowej. Równocześnie nie tracę nadziei, że ten trudny moment może stać się drogą do społecznej odnowy, której początek stanowią umowy społeczne, zawarte przez przedstawicieli władz państwowych z przedstawicielami świata pracy. I chociaż życie w ojczyźnie od 13 grudnia 1981 roku zostało poddane surowym rygorom stanu wojennego, który został zawieszony od początku bieżącego roku, to przecież nie przestaję ufać, że owa, zapowiadana wielokrotnie, odnowa społeczna według zasad wypracowanych w takim trudzie w przełomowych dniach sierpnia 1980 roku i zawarta w porozumieniach dojdzie stopniowo do skutku.

Odnowa ta jest nieodzowna dla podtrzymania dobrego imienia Polski w świecie, jak też dla wyjścia z wewnętrznego kryzysu i dla zaoszczędzenia cierpień wielu synom i córkom narodu, moim rodakom.

Stolica Apostolska wiele swoich wysiłków poświęca sprawie pokoju w świecie współczesnym. W tym roku minęła 20. rocznica ukazania się encykliki *Pacem in terris* papieża Jana XXIII. Wysiłki owe na tym polu kontynuował w wielu formach Paweł VI. Są one bardzo liczne, a zarazem powszechnie znane. Trudno byłoby je w tej chwili szczegółowo przypominać. Wspomniałbym tylko o inicjatywie Papieskiej Akademii Nauk z roku 1981. Specjaliści najwyższej rangi w dziedzinie takich nauk, jak fizyka, biologia, genetyka i medycyna - wypracowali memoriał na temat przewidywalnych następstw użycia broni atomowej. Memoriał ten został doręczony przez przedstawicieli akademii rządowi Związku Radzieckiego, Stanów Zjednoczonych, Anglii, Francji oraz sekretarzowi generalnemu i przewodniczącemu Zgromadzenia Ogólnego ONZ.

Od czasów Pawła VI ustalił się zwyczaj obchodzenia w



Jan Paweł II w drodze do Belwederu



Na warszawskiej ulicy - w oczekiwaniu na papieża.

uroczystość Nowego Roku światowego Dnia Pokoju. Zwyczaj połączony z dorocznym orędziem. Tegoroczne orędzie z 1 stycznia 1983 nosi tytuł: "Dialog na rzecz pokoju wyzwaniem dla naszych czasów". Pozwoliłem sobie tekst tego orędzia przesłać najwyższym przedstawicielom władzy państwowej w Polsce. Orędzie to odwołuje się do doświadczeń przeszłości, aby wskazać, że dialog na rzecz pokoju, zwłaszcza w naszej epoce, jest konieczny. Jest on również możliwy. "Ludzie ostatecznie są zdolni do tego — czytamy w orędziu — by przewyciężyć podziały, konflikty interesów, nawet sprzeczności, zdawałoby się radykalne, jeżeli uwierzą oni w siłę dialogu, jeżeli zgodzą się na to, by po ludzku szukać pokojowego i rozumnego rozwiązania konfliktu."

W dalszym ciągu dokument charakteryzuje znamiona prawdziwego dialogu oraz przeszkody, na jakie ów prawdziwy dialog napotyka. Wiele miejsca poświęca tegoroczne orędzie sprawie dialogu na płaszczyźnie międzynarodowej. Ze względu na okoliczności pozwolę sobie zwrócić uwagę na paragraf zatytułowany: "Dialog na płaszczyźnie narodowej". Dialog taki — czytamy — winien być podjęty celem rozwiązania konfliktów społecznych, poszukiwania dobra wspólnego. Uwzględniając interesy równych grup można doprowadzić do pokojowego porozumienia przez dialog, poprzez demokratyczne przestrzeganie wolności i wypełnianie obowiązków przez wszystkich, dzięki strukturom zapewniającym w tym uczestnictwo oraz dzięki wielorakim instytucjom rozjemczym, na przykład w sporach między pracodawcami a pracownikami, respektując i łącząc grupy kulturowe, etniczne i religijne, tworzące naród."

W przypadkach, gdy dialog między rządem a narodem przestaje, niestety, istnieć; pokój społeczny jest zagrożony lub nawet całkiem zanika. Powstaje jakby stan wojny. Jednak historia i współczesne wydarzenia wykazują, że wiele krajów osiągnęło i osiąga trwałe porozumienie, że zdołały one rozwiązać powstające w ich łonie konflikty lub nawet im zapobiec, sięgając po prawdziwe, skuteczne narzędzie dialogu.

Szanowni panowie, powracam raz jeszcze do słów Pawła VI: "Polska dostatnia i szczęśliwa w interesie pokoju i dobrej współpracy między narodami Europy." Jako syn ziemi polskiej czynię te słowa w szczególny sposób moim własnym życzeniem dla narodu i państwa. To życzenie skierowuję równocześnie do przedstawicieli władzy oraz do całego społeczeństwa. Gorąco pragnę, aby Polska miała zawsze właściwe sobie miejsce pośród narodów Europy między Wschodem a Zachodem. Gorąco pragnę, aby na nowo

TADEUSZ ZYCHIEWICZ

zaistniały warunki owej dobrej współpracy z wszystkimi narodami zachodnimi na naszym kontynencie, jako też na kontynencie amerykańskim, przede wszystkim, gdy chodzi o Stany Zjednoczone Ameryki Północnej, gdzie tyle milionów obywateli jest polskiego pochodzenia. Jestem głęboko przekonany, że takie warunki mogą zaistnieć. To także jest jedno z zadań dialogu — dialogu międzynarodowego na rzecz pokoju we współczesnym świecie.

Wiem też, że Episkopat Polski stale czyni niestrudzone wysiłki, ażeby głoszona przez Kościół zasada dialogu mogła stać się owocną podstawą zarówno pokoju wewnętrznego jak też dobrej współpracy pomiędzy Polską a innymi narodami Europy i świata.

Pragnę jeszcze raz wyrazić podziękowanie za zaproszenie do ojczyzny. Pragnę również na ręce przedstawicieli najwyższych władz Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej złożyć podziękowania za wszystko, co zarówno te władze jak też podporządkowane im organa administracji terenowej uczyniły dla mojego spotkania z narodem i Kościołem we własnej ojczyźnie.

Podobnie jak w czasie moich poprzednich odwiedzin, pragnę na końcu stwierdzić, że każde prawdziwe dobro mojej ojczyzny będę nadal uważał za moje dobro — tak jakbym nadal mieszkał na tej ziemi, a nawet bardziej jeszcze, z racji oddalenia. Z taką samą też siłą będę odczuwał nadal wszystko to, co mogłoby Polsce zagrażać, szkodzić, przynosić jej ujmę, co mogłoby oznaczać zastój czy załamanie. W modlitwie za Polskę łączą się ze mną rzesze ludzi dobrej woli na całym świecie.

Dołączam wyrazy szacunku dla wszystkich dostojnych przedstawicieli władzy i zarazem dla każdego wedle sprawowanego urzędu, wedle piastowanej godności oraz wedle tej odpowiedzialności, jaka na każdym z was, szanowni panowie, ciąży wobec historii i własnego sumienia. Pragnę również podziękować za ofiarowane mi dary, bardzo cenne, bardzo wymowne, w tym zwłaszcza momencie historycznym, kiedy wspominamy trzechsetną rocznicę Odsieczy Wiedeńskiej. Ze swej strony pragnę prosić o przyjęcie mojego daru: "Św. Jan Chrzciciel", dzieło szkoły ferraryjskiej z XVI wieku, z Muzeum Watykańskiego.

Imię tego świętego związane jest z ostatnimi papieżami, poczynając od Jana XXIII. Dla przypomnienia tych poprzedników, na pamiątkę swej wizyty, pragnę pozostawić w Polsce to dzieło, łączące w sobie motyw religijny i motyw papieskich tradycji. Bardzo gorąco proszę o jego przyjęcie przedstawicieli najwyższych władz państwowych. Dziękuję bardzo.

RAFAŁ KALINOWSKI

Dnia 22 czerwca br. podczas mszy świętej na Błoniach krakowskich Ojciec św. Jan Paweł II dokonał uroczystej beatyfikacji o. Rafała Kalinowskiego, karmelity boskiego.

Drukujemy fragmenty eseju biograficznego poświęconego tej postaci. Esej ukazał się w "Tygodniku Powszechnym".

SZTABSKAPITAN

Kalinowskich było wielu, często żadnym pokrewieństwem nie połączonych — od rodzin z parantelą magnacko-hetmańską po drobną szlachtę zagrodową: a jeśli gdzieś była

wieś Kalinów albo Kalinowo (a wiele ich było) niejednokrotnie także i włościanin zwał się potem Kalinowskim, zupełnie jak dziedzic.

Pan Andrzej miał klejnot szlachecki, lecz jego drobne ziemiaństwo należało już do legendy rodzinnej. On sam był bowiem profesorem gimnazjalnym, a potem dyrektorem Instytutu Szlacheckiego w Wilnie. Ożenił się z Józefą Połońską z Mińszczyzny; umarła mu po trzyletnim zaledwie pozyciu, niebawem po urodzeniu drugiego po Wiktorze syna Józefa. Drugą jego żoną była siostra zmarłej, Wiktoria; odbił ją początkującemu literatowi, który zwał się Józef Ignacy Kraszewski, a był podówczas większym jeszcze golcem niż Kalinowski, bądź co bądź na państwowym posadzie. Przybyła zatem następna trójka dzieci: Emilia, Karol i Gabriel. Gdy i ona także umarła po latach dziesięciu, ożenił się po raz trzeci, tym razem z Zofią hr. Puttkamer, córką Wawrzyńca i Marii Wereszczakówny, romantycznej miłości Adama Mickiewicza. Panią była z pozoru krucha, nieco rozmarzona, bardzo pobożna i z dużym temperamentem. Przybyło zatem jeszcze czworo dzieci: Maria, Aleksander, Monika i Jerzy. Gdy rodził się najmłodszy - syn najstarszy pana Andrzeja miał już lat dwadzieścia trzy.

Urodzony w Wilnie 1 września 1835 Józef rodzonyj swej matki nie pamiętał wcale (bo i jakaż może być pamięć oseska?); za matkę prawdziwą uważał drugą żonę swego ojca, a do trzeciej też mówił "mamo", choć była odeń starsza zaledwie o lat siedem, zaś nie starzejący się nigdy romantyzm Zofii z Puttkamerów zasługiwał w jego oczach raczej na serdeczną opiekuńczość; toć nawet jej najmłodszy synek, ledwie wyrósłszy z krótkich portek, zwykł był mawiać: "...ach, jak młodo mama sądzi!..." Józef miał umysłowość raczej ścisłą i romantykiem nie był; przynajmniej nie był nim w guście epoki.

Poszedł na naukę do Instytutu Szlacheckiego, gdzie ojciec był już dyrektorem: mieścił się ów instytut w budynkach zlikwidowanego kolegium pijarów, naprzeciw zamienionego na więzienie klasztoru dominikanów. Opinie o instytucie są różne. Jakub Gieysztor, instytuowy starszy kolega Józefa i późniejszy jego serdeczny przyjaciel, miał tę uczelnię za wylęgarnię nygusów; być może za ostro ją osądzał. Józef Kalinowski ukończył instytut *summa cum laude*, ze złotym medalem; był pilny i bardzo zdolny. Za namową ojca wraz ze starszym swym bratem Wiktozem poszedł do Instytutu Agronomicznego w Hory-Horkach koło Orszy. Jednakże nie miał za grosz zamiłowań rolniczych; po półtorarocznych studiach poprosił ojca o zgodę na zmianę zawodu. Miał umysł matematyka i pociągały go nauki ścisłe, a już dla techniki miał cześć zgoła romantyczną.

Do inżynierskiej szkoły budowy dróg i mostów w Petersburgu nie dostał się z powodu natłoku chętnych. Nie chcąc się już cofać, wstąpił do wojska i zgłosił się do Mikołajewskiej Szkoły Inżynierskiej, której wyższe lata miały status akademii. Zdał świetnie i po półrocznym kursie przygotowawczym został przyjęty na jej drugi rok. Uczył się bardzo dobrze, choć zdrowie miał nietęgę, a uczelnia miała surowy dryl wojskowy. (...) Jesienią 1856 awansował na porucznika.

Był młodym, przystojnym, nader inteligentym oficerem o smutnych oczach i doskonałych manierach, dla wielu kobiet był pociągający; bywał na zabawach, operach, baletach; miał przygody nie zawsze poważne; nie stronił od życia kulturalnego i towarzyskiego; miał wielu przyjaciół, także Rosjan — i przyjaźnie te miały przetrwać nawet powstanie. Lecz jakoś pusto mu było i nie pozbył się poczucia obcości. Więc czasem zamykał się w samotności, dziwaczał, czytał.

Czytał dużo; znał Chateaubrianda, zabronionego de Maistre'a, św. Augustyna, polską poezję romantyczną, literaturę angielską w oryginale. Miał zainteresowania religijne, lecz praktyk zaniechał: od wyjazdu z Wilna nie przystępował do sakramentów, a do kościoła chodził rzadko. Nie wiedział, co z sobą zrobić. Wakacje spędzał w rodzinnych stronach.

Petersburga miał dość. Dowództwo Korpusu zgodziło się, aby podjął pracę przy wytyczaniu linii kolejowej Kursk — Kijów — Odessa; linia ta miała charakter strategiczny, lecz budowało ją konsorcjum prywatne. Wielkanoc 1859 był już w Kursku, potem ruszył z ekipą w teren. (...)

Miał wielkie ponad miarę zaufanie do cywilizacji technicznej, a posłyszawszy o rozbudowie sieci kolejowej na Syberii, napisał do bratowej entuzjastyczny list, w którym wieścił powszechne z powodu postępu technicznego braterstwo ludów; marzyły mu się również (także z powodu postępu technicznego) chrześcijańskie Chiny i Turcja. A co znaczy "chrześcijańskie" — napisał wprost: "Tj. z cywilizacyjnymi ideałami europejskimi". Jeśli istnieje i taka dziwna rzecz, jak romantyzm inżynierów — on na pewno był z tego gatunku, jednakże trudno nie podważyć, że wielki był zamęt w głowie porucznika Józefa Kalinowskiego. Tym bardziej, że jakoś mu nie starczała ta jego kulturowo-cywilizacyjna wiara i kiedy czytał Augustyna, przebłyskiwały mu całkiem inne światła, lecz niewyraźnie i nie na trwałe. A mieszkał z nim razem w chałupie chłopskiej kreślarz, chłopak z Wileńszczyzny, prosty i pobożny. Przesłano mu z domu książeczkę do nabożeństwa — też prostą, lecz mądrze napisaną i ułożoną. Przerzucał ją porucznik jakby od niechcenia, bo nie takie dzieła już czytał; aż przyłapał się kiedyś, że modli się do Pani Ostrobramskiej nie jak niegdysiejsze dziecko i nie jak sceptyk-technik, lecz jak dorosły, co do domu wraca. I zdumiał się. Pogadywali sobie nocami, jak dwaj spiskowcy, także o bolących polskich wspominkach. Za niziutkim, krzywym okienkiem stała noc i oprawiona czernią brzoza, widmowo biała w księżycu, a w kącie pełgał ogienek przed poczerniałą ikoną. Opowiadał mu kiedyś ojciec o procesie filomatów za Nowosilcowa. Pamiętał sekwencję wyroku wydanego w imieniu cara "za przywiązanie do nierozumnej narodowości polskiej i miłość do zagasłej niepowrotnie ojczyzny". Co dalej? Może gwardia w Petersburgu, może Kaukaz i dużo pieniędzy, może Akademia Sztabu Generalnego, może wojskowe bakalarstwo... Na stołku pobłyskiwały szlify mundurowej bluzy. Naprawdę nie wiedział, jaka mu droga. (...)

Pod koniec 1860 poprosił o odkomenderowanie do twierdzy brzeskiej i otrzymał ten przydział. Brześć był umocnieniem dość potężnym i stale rozbudowywanym rękoma więźniów. Miasto było dość beznadziejne i okolice także. W klubach i resursach tańczono, grano w karty i pito, zaś w domach i u obywateli ziemskich pito, tańczono i grano w karty; a jeśli nie pijesz, nie grasz i tańczyć nie masz ochoty, to się choć i powieś, chyba żeś dziwak i książki czytasz. Lecz było też i paru ludzi ciekawych, choćby pułkownik Igelström, wnuk sławnego generała Igelströma, za czasów króla Stasia ambasadora Katarzyny i energicznego grabarza Rzeczypospolitej. Wnuk zaś ni stąd, ni zowąd był katolikiem i nie krył swych afektów dla polskości; pokłócony z rodziną, wstydił się za Rosję i wpadał w bardzo zły humor, gdy wspomniano dziada.

Była jedna jeszcze (bo i wcześniej też były) próba matrymonialna: swatano go z Celiną, siostrą Wiktorowej Kalinowskiej, i panią wcale nie była przeciwna, jak i on. Lecz mama Celiny dała mu rekuzę, doszedłszy do wniosku,

że nie chce mieć zięcia hołysza, choć przystojny.

Miał kontakty z polskimi kołami wolnościowymi. Już w Petersburgu poznał i zaprzyjaźnił się z Zygmuntem Sierakowskim i choć nie ze wszystkim zgadzał się z nim, pozostawał jednakże pod urokiem jego wybitnej osobowości i miał go za "wybrańca Pańskiego". Teraz zaś rozjeżdżali po kraju jego emisariusze. Kalinowski poszukał kontaktu w Warszawie, lecz rozmowa z człowiekiem, którego mu wskazano, rozczarowała go głęboko: spotkał zwolennika terroru i krańcowego demagoga, którego wyliczenia były całkowicie utopijne i na powietrzu pisane.

W kwietniu dostał awans na sztabkapitana. W kraju było niespokojnie, w powietrzu całkiem już wyraźnie wisiała rychła burza. Zaczęło mu być nieporęcznie w rosyjskim mundurze; wniósł prośbę o dymisję z wojska. Lecz zwolnienie długo nie przychodziło.

22 stycznia 1863 wybuchło powstanie. Kalinowski przyjął wiadomość o fakcie podobnie, jak jego przyjaciel Gieysztor: z rozdwojeniem i rozpaczą. Był wyszkolonym, fachowym oficerem regularnej armii i wiedział, jakie są realne rachunki wojny. Odwaga, męstwo, poświęcenie, wiara w elementarną słuszność sprawy miały w tej buchalterii swoje niebagatelne miejsce, lecz decydowały zimne potencjały sił militarnych i ich zaplecza, w tym zaś zakresie nie było o czym mówić. Powstanie było bez szans i należało myśleć o cenie, jaką się za nie zapłaci. Lecz to szaleństwo było szaleństwem uczciwym i dysponującym słusznymi racjami moralnymi. Każdy człowiek i każdy naród ma prawo do własnej tożsamości i własnej ziemi, do własnej historii i własnej duszy, niechby i odmiennej od sąsiadów; do tego, aby nikomu nie wadząc, żyć w wolności po swojemu i własnej ojczyźnie służyć, nie obcym. I nie powinno tak być, aby tym słusznym od korzenia prawom stawały naprzeciw armie urzędników i żołdackie bagnety Bogu ducha winnych ludzi, którzy przyszli tu tylko dlatego, że car, jadąc imperatorskim palcem po mapie granice wymazał dla pustej chwały swego imienia i rozpuchnięcia imperium, które i bez tego splechotka było ogromne. Nie powinno tak być. Lecz było. Boże miłosierny, gdzie jest jego miejsce? Polaka, który pragnął pozostać tym, kim był — i zawodowego oficera armii rosyjskiej, który przecież przysięgał? Jeszcze nigdy nie było mu tak ciężko. I niczego dziwnego nie było w tych rozrachunkach. Toć nawet i niektórzy Rosjanie, postawieni teraz w polskich sytuacjach krańcowych, czynili rzeczy dziwne. W czasie przedpowstaniowych manifestacji patriotycznych, gdy roty strzelały do tłumu - porucznik Potapow przed komendantem oddziału zламаł szpadę i został rozstrzelany za zdradę. Oficer szyfrowy sztabu, Aleksandrow, przeczytawszy depezę carską do generała Ludersa nakazującą "kartaczować lud" — sfalszował depezę i przekazał dowództwu rozkaz, by "postępowano jak najogłędniej"; a nie miał żadnych kontaktów z polskim ruchem patriotycznym. Również i jego skazano na rozstrzelanie w ciągu 24 godzin, lecz — o dziwo — car uznał moralne motywy jego niesłuchanego postępków i śmierć zamienił na dożywotnią katorgę. Nie było już miejsca na "stanie obok". Tym bardziej dla Polaków.

Podlasie było w ogniu. Powstańcy zaatakowali Białą Podlaską, Siedlce, Radzyń, Łuków, Kodeń, Łomżę. Partie Rogińskiego podeszły pod Brześć. W twierdzy biły werble i rotę stały w ciemnościach. Przyszedł nowy dowódca, zruszczony Niemiec Nostitz. Był rozkaz, aby oszczędzano tylko dzieci i starców; a póki co wydano wódkę i dla wprawy pijana rota z gromowym "urrrraa!" uderzyła na najbliższy dwór, mordując właściciela; już i do armat się brano, lecz

oficer-Rosjanin, choć też pijany, własnym ciałem zasłonił wyłot lufy. Rogiński miał sukcesy, lecz po paru tygodniach stało się to, co było raczej nieuniknione: rozbito go i odesłano do Brześcia. I tak się spotkali: zmaltretowany powstaniec w ubłoconej burce i kapitan sztabowy Kalinowski. Rogiński miał twarz zbiedzoną, z twarzy Kalinowskiego nic nie było można wyczytać. Lecz nocą światło nie gasło w kapitańskiej kwaterze i cień chodził po szybach jak wahadło.

SYBIRAK

W maju przyszła wreszcie upragniona dymisja. Pojechał do Warszawy i oddał się do dyspozycji Rządu Narodowego, przekazując — jak wieść niesie — plany rosyjskich twierdz na obszarze Polski i Litwy. Został naczelnikiem Wydziału Wojny na obszar Litwy, kimś w rodzaju lokalnego ministra wojny. Przybył do Wilna w czerwcu, podjął pracę jako nauczyciel gimnazjalny, rodzina nie wiedziała, co naprawdę robi. Był obecny na egzekucji Zygmunta Sierakowskiego, bezpośredniego dowódcy sił powstańczych na Litwie. Działania wszakże słabły, co w sporej mierze było wynikiem straszliwego terroru rozpętanego przez generała gubernatora Murawiewa. Każdy coś lubi albo nie — a on lubił wieszać. Państwu potrzebni różni ludzie, zależnie od czasu i miejsca, i od różnych spraw — a on teraz był tu na swoim miejscu i w porze właściwej, i wcale się nie gniewał, że nazwano go Wieszatelem. Naprawdę lubił nim być. To, co się działo po wsiach i miasteczkach, było przedsięwzięciem piekła.

Miejsce Sierakowskiego zajął Jakub Gieysztor. Aresztowano go jednak w początkach sierpnia, a że mieszkaniu miał czyste i nic nie znalezione, śledztwo się przeciągało. Kolejnym dowódcą został po nim Konstanty Kalinowski, mimo tożsamości nazwiska wcale nie spokrewniony z Józefem. Ten ostatni chciał ofiarować Gieysztorowi w więzieniu cenny krzyżek z relikwiami, który miała jego siostra, Marynia Kalinowska. A podłotek schytrzył się i rzekł: Józus, taki jesteś okropnie mądry, że już całkiem nie wiadomo, czy naprawdę, i patrzeć już nie można na to, co wyprawiasz. Idźże ty zwyczajnie do spowiedzi. Pójdziesz, to dam krzyżek. A nie pójdiesz, to nie dam, i już. Co było robić? — Poszedł do ks. Eymonta, pierwszy raz od dziesięciu lat, i znacznie mu ulżyło. Przyjaciel dostał krzyżek.

Pusto się robiło wokół Józefa Kalinowskiego, bo wciąż z jego otoczenia szli ludzie na szubienicę albo na zsyłkę. (...)

11 kwietnia 1864 aresztowano w Warszawie Romualda Traugutta, a przedtem jeszcze 22 marca powieszono Konstantego Kalinowskiego. Józef widział z okna ostatnią drogę przyjaciela i nie stać go było na żadne myśli poza modlitwą. Nie istniejące już właściwie władze powstańcze reprezentował tylko on sam. O północy z 24 na 25 maja aresztowano także i jego. (...)

Cela pojedynka była niedaleko, w dawnym klasztorze dominikanów. Dwa tygodnie trzymano go w ścisłym odosobnieniu, aby skruszał. Nie miał wielkiej nadziei, że wyjdzie stąd inaczej, niż na szubienicę. Czuł tak, jakby zatrasnęła się za nim nieodwołalnie jakaś brama i na całe swoje przeszłe życie patrzył jakby z wysokiego brzegu — nie tylko tak, jak patrzy się na coś, co wrócić nie może; także i tak, jak patrzy się na coś, co nie może mieć żadnego już przedłużenia i kontynuacji. Cokolwiek bowiem przyjdzie, będzie już czymś całkiem odmiennym. I ważne jest to, co naprawdę ważne, jedynie ważne. Co mianowicie? (...)

Kłęcząc teraz w celi kiedyś zakonnej, dziś więziennej, a przez grube dominkańskie mury nieuchwytnym prawie

pasemkiem sączyły się rankiem organy z kościoła. Do Kalinowskiego wrócił św. Augustyn, a ze szczególną uporczywością to jedno, jedyne zdanie pełne nieodwracalnego żalu — zda się, że nie do naprawienia: „...późno Cię umiłowalem”. A przecież wiedział właściwie już od dawna, jakie są prawdziwe klucze spraw. Można było studiować matematykę, jak on, jeśli jednak nie stała się ona serdecznie bliska, ukryte piękno jej harmonii pozostawało czymś obcym. I sam mówił uczniom: polubisz, to zrozumiesz. Można było zdobyć wielką wiedzę biologiczną, jeśli jednak nie wielbiło się wielkiego cudu życia, wszelkie stworzenie pozostawało nieme, ty zaś z zewnątrz, odrzucony. Można też było mądrzyć się o miłości. Ale teraz młode dziewczyny z dobrowoli szły w tajgę, za skażąciami, i one jedne naprawdę znalazły się na rzeczy i wiedziały, czym jest miłowanie — bez rozpraw, ksiązek i wierszy. On, Kalinowski, przeczytał wiele ksiązek z zakresu wiedzy religijnej, lecz dopiero teraz odnalazł w sobie płomyk dający rzetelne zrozumienie także i tego wszystkiego, co musiało być „głupstwem dla pogan”. Dla pogan, jak on.

“Późno Cię umiłowalem...” Bezszelennie uchylał się judasz w drzwiach celi, lecz strażnik widział tylko plecy klęczącego w kącie aresztanta. Poszedł więc meldunek, że ten właśnie *miatieżnik* jest wyjątkowo pobożny. Istotnie: opadły zeń jakoś wszelkie zahamowania, opory i wątpliwości. Złamał bariery — dopiero teraz, kiedy to, co nadejdzie, musi być czymś całkiem odmiennym. Więc to tak? Ano — tak. Późno. Lecz jednak.

Przesłuchania. Wyżsi funkcjonariusze ochrony byli fachowcami dużej klasy. Gdy trzeba — aksamitnie uprzejmi i salonowi, ogromnie przyjaźni, szczerze współczujący panu sztabkapitanowi, który się tak niefortunnie zaplątał. Kalinowski nie przyznawał się do niczego. A zatem prowadzący śledztwo porucznik Jugan zaczął inaczej: rozmowa całkiem towarzyska o ojcu, o braciach — gdzie też się podziewają? (czterech ich było w powstaniu), o krewnych, o znajomych. Półśłówka, aluzje, dziwne pytania, nazwiska, które nie powinny były paść, lecz padły. Kalinowski zaniepokoił się: ten człowiek nie zejdzie z tropu, sieć będzie się rozszerzała, może zagarnąć wielu. Zdecydował się pograć. Odwołując swoje zaprzeczenia, złożył zeznania na piśmie, wszystko, jak było, o sobie. Co do innych — wymienił tych tylko, którzy już nie żyli albo na podstawie własnych zeznań zostali już skazani, albo też zdążył wyprawić ich za granicę. O faktach to tylko, co było ogólnie wiadome.

Dostał karę śmierci jako winien “pełnienia obowiązków kierownika sił zbrojnych na Litwie i redagowania rozporządzeń co do kierowania siłami powstańczymi”. (...)

Rodzina czyniła rozpaczliwe starania. Tymczasowy Audytoriat Polowy miał prawo wyrok zmienić, zaś u Murawiewa też były szanse, gdyż Wieszatiel uważał Kalinowskiego za pomyłkę, a to z przyczyny otrzymanego odeń memoriału, w którym Kalinowski pisał o konieczności pojednania i unii prawosławia z Rzymem. Tylko wariat mógłby Murawiewa nawracać. Wszędzie można znaleźć człowieka: przewodniczący Audytoriatu nie przyjął grubej łapówki, lecz przyrzekł pomoc. I dotrzymał: sąd rewizyjny przyznając się do winy uznał za okoliczność łagodzącą i karę śmierci zamienił na dziesięć lat ciężkiej katorgi we wschodniej Syberii, ponadto pozbawienie rang, szlachectwa i praw stanu.

Forteca w Ostrogu, potem kolejną do Petersburga. (...) Potem Moskwa. (...) Kibitką do Permu. (...) Potem Tumień. Tomsk. Krasnojarsk. (...) Irkuck. Miał w papierach miejsce

przeznaczenia: nerczyńskie kopalnie złota za Bajkałem, jedno z najstraszniejszych miejsc, o którym sami Rosjanie mówili z grozą: “Gwałtem wołałem do Pana Boga, aby mnie ratował”. Cuda zdarzają się rzadko, lecz czasem się zdarzają: i znów - wszędzie można znaleźć człowieka. Gubernator miał list od pani Zofii: aby zaopiekował się synem. Mógł rzucić do kosza. Lecz lekceważąc urzędowe papiery, skreślił Nerczyńsk. “Radzę Usole, tam znajdzie pan przynajmniej dobre towarzystwo.” To były warzelnie soli na wyspie pośrodku olbrzymiej rzeki Angara: miejsce było zdrowe, na dalekich brzegach puszcza modrzewiowa. Warunki znośne, żonatym pozwolono mieszkać w miasteczku; samotni w koszarach. Każdy dostał kajdany na swój wymiar, a ślusarze w nadziei nagrody pucowali je do polysku, skąd i gadka poszła, że polskie katorżnicy w Usolu same hrabie, srebrne kajdany noszą. W rzeczywistości zakładano je najczęściej tylko wtedy, gdy który przepustkę dostał na brzeg. (...)

25 maja 1868 ukaz carski zwolnił Józefa Kalinowskiego i całą jego grupę, zamieniając roboty na wolne posilenie w Irkucku. Miał szczęście: był inżynierem, dawał sobie jakoś radę, podjął korepetycje, zajmował się wychowywaniem. Miał ciekawe podejście: z jednej bowiem strony preferował “rzeczy realne”, nauki przyrodnicze, wiadomości o odkryciach i wynalazkach, z drugiej zaś - podobnie jak potem Janusz Korczak - sądził, że przeciętnie dzieci samymi tylko wiadomościami nie jest rzeczą rozproszą, bo ważniejsze jest zdrowie, kształtowanie charakteru, sumienia i samodzielności myślenia; a wiadomości zawsze do nabycia. (...)

Niespokojny był, bo coraz to przychodziło jakies ulaskawienie: Dybowski wyjechali bliżej stron rodzinnych, Mackiewiczowie, Wielhorscy, Oskierkowie, Bnińscy. Dobrze, że był ks. Szvernicky. Ten miał parafię większą od Europy, bo sięgającą od wschodu Oceanu Spokojnego, od południa Chin, od północy bieguna, a od zachodu rzeki Jenisej. U niego też zamieszkał. “Gdzie było jakie dziecko opuszczone, Kalinowski je uczył, gdzie chory do pilnowania, gdzie co przykrego do zrobienia, tam pierwszy on był, również jak w kościele” (list p. Dybowskiej). “Kalinowski nie lubił pozy. Modlił się dużo i dużo dobrego czynił, lecz nikt o tym nie wiedział, nawet najbliższe otoczenie. Mówił mało” (list Dubieckiego, b.sekretarza Traugutta). Wiadomości z kraju nie były wesołe. Tu, w Irkucku, swobodnie śpiewano polskie pieśni w kościele; a w Wilnie ks. Piotr Żyliński, administrator diecezji po wywiezionym biskupie Adamie Krasieńskim, wprowadził do kościołów język rosyjski...

Brał pewien udział w wyprawach badawczych prof. Benedykta Dybowskiego w Kułtuku nad Bajkałem i ta przyjaźń dotrwać miała aż do śmierci. mimo zasadniczej różnicy światopoglądów: Dybowski był niewierzący. “Jeśli kto może być uznany za świętego, to w pierwszym rzędzie śp. ks. Rafał - napisze Dybowski już po jego śmierci. — Jego tolerancja anielska, jego miłość ludzi, jego wyrozumiałość, jego uszanowanie dla obcych poglądów etc. czyniły z niego człowieka tej miary, jakiej dzisiaj nie spotkamy wśród ludzi pokolenia niniejszego.” Kalinowski podjął w tym czasie decyzję wstąpienia do zakonu i powiadomił o tym rodzinę. Dostał pozwolenie na przeniesienie się do Carewa w guberni astrachańskiej, długo zwlekał, ruszył dopiero w lipcu 1872, zatrzymał się w Permie, gdzie pozwolono mu zostać. Przebywał tu także biskup łucko-żytomierski Kacper Borowski, wywieziony ze swej diecezji i skazany na wygnanie za odmowę wprowadzenia języka rosyjskiego do liturgii i nabożeństw.

W 1872 dzięki pomocy swych rosyjskich przyjaciół otrzymał 4-miesięczny urlop od zesłania; ruszył więc do kraju i zajeżdżał do Hrozowa. Zanotował: "Kraj tak wygląda, jakby zeń duszę wydarto, zgnilizną dotknięty i robactwo już go toczyć poczęło." Urlop minął, należało wracać. Ponieważ jednak termin i tak miał wnet minąć, podjęto starania o darowanie reszty wyroku. (...)

Po dwu miesiącach policmajster smoleński wręczył Józefowi dokument uwalniający z zesłania oraz pozwalający na powrót do Królestwa z wyłączeniem Litwy i Białorusi. Nie mógł już zobaczyć się z rodziną.

Wiosną 1874 zjawiał się w Warszawie. (...) Przyjął posadę wychowawcy 16-letniego księcia Augusta Czartoryskiego, syna przywódcy emigracji polskiej (a wnuka ks. Adama), co wiązało się z perspektywą wyjazdu za granicę. (...)

W listopadzie stanął w paryskim Hotelu Lambert. (...) August był chłopcem wrażliwym na okazywaną sobie przychylność, dobrym i obowiązkowym, lecz fizycznie bardzo wątłym, milczącym, smutnym i nieufnym. Gdy się urodził, składano mu życzenia jako przyszłemu królowi polskiemu, a chociaż plany te leżały już w strefie księżycowych fantazji, i tak chowano go na dziedzica majątku, tradycji rodzinnych i ojcowskich nadziei. Wszelako początki wychowania nie były fortunne: Kalinowski był pierwszym, który chodził z nim na spacer i grał z nim w piłkę i palanta. Nie bez trudu zdołał przekonać ojca, że nie jest rzeczą normalną, aby chłopak chował się bez rówieśników. Jakoż i umieszczono Augusta w publicznym zakładzie ks. Roussela; była to szkoła o wyjątkowym programie wychowawczym, ogromnie elastycznym, respektującym indywidualne zamięłowania i zainteresowania. Nie wiedział Kalinowski, że Augustowi tak się ta szkoła spodoba: gdy został potem salezjaninem, część majątku przeznaczył na podobny zakład w Polsce. Jednakże pobyt Augusta w owej szkole nie był długi: pokazały się początki gruźlicy i lekarze wysłali go wraz z proceptorem do Mentony. Chłopak czuł się źle i praktycznie Kalinowski pełnił przy nim rolę ojca, matki, pielęgniarki i nadzorcy. Nastąpiła pogoda za zdrowiem: Neuilly pod Paryżem, Eaux-Bonnes w Pirenejach, Sieniawa, znowu Paryż i znów Mentona, potem zaś Szwajcaria, Davos.

Józef postanowił zrealizować wreszcie dawne swoje zamierzenia — tym bardziej że August, choć wciąż słaby, zaleczył swoją chorobę. Kalinowski poprosił o zwolnienie z obowiązków. Wybrał Karmel.

ZAKONNIK

15 lipca 1877, mając lat 42, rozpoczął nowicjat w Grażu; 26 listopada przyjął habit karmelitański i zakonne imię Rafał. W listopadzie 1878 Rafał Kalinowski złożył śluby zakonne. Wysłano go dla studiów teologicznych do klasztoru w Győr w Węgrzech. Zdobył sobie już teraz opinię człowieka wielkiej, gorliwej wiary i pobożności oraz znacznych uzdolnień i inteligencji, łagodnego, wyrozumiałego i ogromnie cierpliwego.

27 listopada 1881 złożył uroczystą profesję zakonną i zaraz następnego dnia wyjechał do klasztoru w Czernej pod Krakowem. W styczniu biskup Albin Dunajewski udzielił mu kolejnych święceń kapłańskich: niższe w prywatnej swej kaplicy, kapłańskie w Czernej. O. Rafał Kalinowski miał wtedy lat 46.

(Po kilku latach). Zakonne definitorium generalne powierzyło obowiązki przełożonego klasztoru w Czernej o. Rafałowi Kalinowskiemu. (...) O. Rafał nie miał szczególnego daru wymowy i starał się powierzać kazania



O. Rafał Kalinowski

swym przyjaciołom spośród kapucynów i jezuitów. Jednakże przełamywał się i także głosił z ambony Słowo Boże. Mówił może za cicho, może mało dźwięcznie, lecz spokojnie, prosto i z wielkim przekonaniem. Jednakże jego najwłaściwszym miejscem pracy stał się konfesjonał i on właśnie uczynił go przewodnikiem dusz. Miał do tego specjalny charyzmat. Nie z gatunku "dzieciolów konfesjonału": duchownych, którzy słuchali spowiedzi, znudzeni, ze skrytym zniecierpliwieniem, a także i nie bez przerażenia — czekając, kiedy wreszcie będą mogli popukać w drewno: "ego te absolvo...". On czuł się naprawdę depozytariuszem miłosierdzia Bożego i mądrości Kościoła. I nie była to wyłącznie tylko sprawa gorącej jego wiary, a także i wiedzy. Właściwie całe jego życie przygotowywało go do tej właśnie służby. Tak długo sam był na bakier z Panem Bogiem, Kościołem i sakramentami. Tyle wielkich bied zaznał i widział w życiu — większych niż w tym spokojnym kraju. Tyłu różnych ludzi ratował, nie będąc jeszcze księdzem; syberyjskich Hiobów, którzy wadzili się z Bogiem, gdyż z powodu niezawinionych cierpień trudno było uwierzyć w sprawiedliwość i miłosierdzie Boże; takich, których nostalgia wpędzała w beznadzieję, pijaństwo albo obłąd, innych, których otepiła sama tylko nędza i poniżenie. Znał doprawdy wiele ludzkiej nędzy dusznej i pamiętał zawsze o własnych słabościach. Także i o tym, jak musiał kiedyś przełamywać się, gdy przychodziło czuwać przy chorych i umierających. Dziś nie było w nim oporów: był pełen miłosiernego zrozumienia, delikatności, szacunku, taktu i cierpliwości; chciał pomóc. Nie gorszył się i nie oburzał; wymagając wiele, nie stawiał jednak poprzeczek nie do przeskokoczenia, kazał zaczynać od małego. Stawał się przyjacielem, lecz nie dla własnej chwały: chciał, aby późno umiłowany Pan stał się przyjacielem tych, którzy jakże często tracili już nadzieję, przytłoczeni własną słabością albo splątaniem losów. Klasztor w Czernej zaczynał pulsować światłem. Przed przywróceniem obserwacji karmelitańskiej

księży czarneńscy rozjeżdżali po parafiach, bo na miejscu było pusto; teraz szły do Czernej pielgrzymki nawet ze Śląska.

(...) Ci, którzy się spowiadali u niego, nigdy tej spowiedzi nie zapominali: każdemu mówił: "moje dziecko", i wedle relacji jednego z penitentów: "było tak, jakby człowieka ramionami objął". Miał też skłonność do pokut nietypowych; oschłym kazał się zająć kimś opuszczonym, ludziom przeważliwionym zlecał pielęgnację chorych, aby poznali prawdziwą biedę. (...)

(...) Na ostatnie jego lata kazano mu wrócić do Czernej, obarczając znów funkcją przeora i definitora prowincji. Wychudł, pochylał się i tylko oczy pozostawały niezmienione. Opinia o jego świętości stawała się powszechna; gdy przyjeżdżał do Krakowa, na dworcu podróźni samorzutnie tworzyli szpaler i wielukłękało. Ku przerażeniu o. Rafała to samo uczynił w Kurii kardynał Puzyna, pan doprawdy nie nazbyt skłonny do pokory. A przerażenie o. Rafała nie było udawane: był chyba jeuynym, który zupełnie nie wierzył już nie to, że we własną świętość, ale wręcz we własną poprawność, mając o sobie samym zdanie nader sceptyczne. (...)

Bardzo już był słaby i schorzały, a rzucono nim, jakby był w pełni sił. W 1906 został znów przeorem w Wadowicach i zaraz potem wezwał go prowincjał, aby towarzyszył mu w wizytacjach. Pojechał, choć nie bardzo już mógł chodzić. W Przemyślu miał atak częściowego paraliżu. Wrócił zniezdniały i z gorączką, siadł w konfesjonale. Potem zemdlął w chórze. W święta Bożego Narodzenia zdawało się, że umrze, przyjął ostatnie namaszczenie. Lecz jeszcze tym razem się dźwignął i zaraz poprosił, aby wreszcie wyjęto go z łóżka i oddano mu jego łożo z desek i koca, na którym zawsze sypiał; lecz i tak nie mógł już wstać o własnych siłach. Latem zasiadł jeszcze przed wielkim ołtarzem i przyjął uroczyste śluby zakonne młodych kleryków.

Z początkiem jesieni 1907 dostał zapalenia płuc i stawów. Umarł 15 listopada 1907, bardzo cicho i spokojnie. Gdy przy otwartej trumnie odprawiono mszę św. żałobną, celebrant po raz pierwszy inwokował:

"Przez wstawiennictwo Rafała Kalinowskiego ojczyznę wolną racz nam wrócić, Panie."

Pochowano go w Czernej.

TADEUSZ ZYCHIEWICZ

"Tygodnik Powszechny", 22 maja 1983 r.

Rozmowa ze Zbigniewem Bujakiem

NIE USTAĆ W DRODZE

"Tygodnik Mazowsze" opublikował ostatnio wywiad z przewodniczącym Tymczasowej Komisji Koordynacyjnej NSZZ "Solidarność" Zbigniewem Bujakiem. A oto tekst rozmowy, którą dziennikarz podziemnego pisma przeprowadził jeszcze przed wizytą Jana Pawła II w Polsce.

Red.: Zbliża się wizyta Jana Pawła II w Polsce. Od niej chcielibyśmy zacząć tę rozmowę...

Zbigniew Bujak: Myślę, że każdy, kto będzie na tę wizytę patrzył pod kątem bezpośrednich, namacalnych efektów, pewnie niczego się nie doczeka. Bo ona nic takiego nie może przynieść i nawet nie wolno tego od niej oczekiwać. Po prostu w tego typu sytuacjach komunistyczna władza z zasady ustępstw nie czyni. Co prawda średnia światowa pokazuje, że na skutek wizyty papieża co szósty dyktator ogłasza demokratyczne wybory. Jeden taki już się znalazł w Ameryce Południowej. Ale nie przypuszczam, żeby nasz poszedł w jego ślady.

Walka, którą toczyliśmy jako związek i wszystkie inne środowiska o swoje organizacje, będzie trwała jeszcze długo. Będzie się ją mierzyć latami, a nie tygodniami czy miesiącami. Czeka nas długa droga i jeszcze wielu z nas usiądzie za kratami. Czego oczekuję po tej wizycie? Że pozwoli ludziom nie ustać w drodze, nie ustać w walce.

Jako społeczeństwo wywalczyliśmy sobie moralne prawo do goszczenia papieża, pokazaliśmy, że jesteśmy tego warci, że jesteśmy tego godni. Szantażowane możliwością odwołania przyjazdu Jana Pawła II społeczeństwo polskie w żadnym momencie nie zrezygnowało z manifestowania swoich dążeń. I tu 1 maja pokazał, że celów, o które walczy związek, nie sprzedajemy, nie rzucaamy na szalę, nie robimy z nich karty przetargowej. Społeczeństwo polskie nie wdało się w handel wartościami.

Red.: Co przez to rozumiesz?

Z.B.: Takim oczywistym przykładem jest to, że prymas nie podjął rozmów na temat wizyty papieża przed posiedzeniem Sejmu, na którym miała nastąpić delegalizacja "Solidarności". W ten sposób jasno pokazał, że on aspiracji społecznych do posiadania własnej reprezentacji za tę wizytę nie sprzedaje.

Innym przykładem jest dla mnie walka środowisk twórczych. Plastycy, którzy nie wycofali poparcia dla "Solidarności" pod groźbą utraty własnego związku. Literaci i filmowcy, którzy też nie dali się kupić. Właściciele nikt nie poszedł na ten handel z władzą. I to jest wielki dorobek społeczeństwa, które przez 1,5 roku stanu wojennego nie tylko nie dało się załamać, lecz przeciwnie nauczyło się solidarności, wykraczającej poza interesy swojej grupy czy środowiska.

Dziś już wiemy, że to my będziemy witać papieża, nie władza. Witać go będzie naród nie przegrany i stłamszony, ale z podniesioną głową. I nie obawiam się, że po tej wizycie społeczeństwo będzie mniej skore do wystąpień. Zgadza się, że utrwali nastroje pacyfistyczne, ale to w naszej sytuacji nie oznacza słabości, przeciwnie - jest siłą.

Red.: Czy nasz region przygotowuje coś na przyjazd papieża?

Z.B.: Myślę, że wszyscy po prostu wyjdą go powitać; ja też będę go witał na trasie.

Red.: Od naszej ostatniej rozmowy minęło prawie pół roku. Jak oceniasz ten okres?

Z.B.: Po 10 listopada mamy do czynienia z bardzo dużą aktywnością organizacyjną podziemia, stosunkowo mało widoczną na zewnątrz. Są pewne progi organizacyjne, które stopniowo pokonujemy. Na to trzeba czasu: Np. współpraca

różnych struktur w regionie rozwinęła się na tyle, że w tym roku mógł powstać Komitet Obchodów 1 Maja, do którego weszli przedstawiciele dużych zakładów pracy i porozumień. Udało nam się lepiej niż w ubiegłym roku skoordynować przygotowania do manifestacji.

To, co się działo 1 maja, nie powinno być żadnym zaskoczeniem dla kogoś, kto obserwował nurt niezależnych działań. Było jasne, że ludzie na pochód przyjdą; było jasne, że jest im to potrzebne dla pokazania, że nie rezygnują z walki. To był moment, kiedy aktywność społeczne musiała znaleźć taki właśnie wyraz. To był wielki sukces dla ludzi, dla społeczeństwa. Zwłaszcza w obliczu wizyty papieża.

Red.: *Mówisz o zwiększonej aktywności związku po 10 listopada...*

Z.B.: Właśnie klęska 10 listopada była dla związku punktem przełomowym. Stało się jasne, że koncepcja organizowania strajku generalnego spaliła na panewce. Ludzie zdali sobie sprawę, że w naszej sytuacji zbudowanie struktury zdolnej do zainicjowania i prowadzenia takiego strajku jest mrzonką, że tu trzeba postawić na pewne procesy społeczne, czekać na dogodny moment.

Ludzie, którzy forsowali ostrą linię, wycofali się z niej. Od listopada nie dostają już tych wielostronicowych opracowań; jak doprowadzić do strajku generalnego i jak go wygrać. Wszyscy zobaczyli, że nie tędy droga. Działający dziś w strukturach niezależnych mają dobre wyczucie rzeczywistości, znają możliwości, jakie ta działalność stwarza, niebezpieczeństwa, jakie niesie. Są dojrzałi do sytuacji, w jakiej się znaleźliśmy. Dużo lepiej i sprawniej się z nimi pracuje; jest mniej konfliktów.

Ostatnie półrocze było okresem nowych inicjatyw, utrwalenia struktur, wielkiej pracy. Utworzona została Komisja ds. Kultury, Komisja ds. Nauki, rozwinęła działalność Rada Edukacji Narodowej i w ogóle cała oświata niezależna. To wszystko, wbrew pozorom, jest środkiem wywierania nacisku. Wiemy, że po opublikowaniu pierwszego Zeszytu Edukacji Narodowej władze oświatowe kazały opracować materiały wypełniające luki w oficjalnym programie nauczania.

Przez te pół roku ustabilizowały się formy działania w zakładach pracy i funkcje porozumień zakładowych. W wielu zakładach związek podjął prawie normalną działalność statutową. Wypłacają zasiłki, co wydawało się być bardzo dużym problemem.

Red.: *Czy mógłbyś powiedzieć coś więcej o sytuacji w zakładach pracy Mazowsza?*

Z.B.: są zakłady, gdzie dyrekcja przez sam fakt istnienia niezależnych struktur została zmuszona do cichych uzgodnień i prób dogadywania się z działaczami "Solidarności"; ale są też takie, gdzie związek jest bardzo zwalczany, gdzie toczy się praktycznie walka o przetrwanie.

Nie wszędzie formalnie powołano Tajne Komisje Zakładowe. Tam, gdzie ich nie ma, rolę tę pełnią przedwojenni działacze "Solidarności". Wiadomo, kim są ci ludzie, i choć oficjalnie nie działają, mają wpływ na to, co się dzieje; są też zakłady, w których niezależna działalność prowadzi samorząd. Poprzez samorząd "Solidarność" wywiera wpływ na płace, premie, broni ludzi przed zwolnieniem.

Mam chyba dość realny obraz możliwości w zakładach pracy, chociaż działacze, z którymi się kontaktuję, próbują czasami trochę naciągać. Ale zdaję sobie z tego sprawę i biorę na to poprawkę.

Każdy wielki zakład prowadzi własną działalność i bierze udział w akcjach regionu. Zdolny jest do przeprowadzenia

każdej właściwie akcji plakatowej własnymi siłami. Czyli dysponuje poligrafią, no i ludźmi.

W wielu małych zakładach nic się nie dzieje. Ale bywa i tak, że w małych instytucjach procent ludzi biorących udział w niezależnej działalności związkowej jest wielokrotnie większy niż w dużych zakładach i że są one w stanie znacznie więcej ludzi "odelegować" do pracy w regionie. Trudno byłoby teraz analizować, dlaczego tak się dzieje. Trochę to potwierdza moje przewidywania z początków wojny, że w podziemiu w strukturach pozazakładowych przeważać będzie inteligencja. Załogi wielkich zakładów! Ich czas dopiero przyjdzie, wtedy, kiedy rzeczywiście trzeba będzie uderzyć.

Red.: *W naszym regionie dużą rolę odgrywają porozumienia międzyzakładowe. Czym się zajmują?*

Z.B.: Pod wieloma względami ich działalność jest uzupełnieniem funkcji RKW. To samodzielne i niezależne inicjatywy. RKW może sobie pozwolić na bezpośrednie kontakty tylko z kilkoma największymi zakładami, z tymi kolosami w regionie. Porozumieniom łatwiej jest dotrzeć do mniejszych zakładów, do różnych firm i grup działaczy. Dzięki porozumieniom mamy pewne rozeznanie, co tam się dzieje. Wobec tych, z którymi współpracują, porozumienia potrafią spełniać rozmaite funkcje, które w warunkach normalnych należałyby do regionu. Chociażby druk i kolportaż prasy.

Red.: *A jaka jest sytuacja w regionie poza Warszawą?*

Z.B.: Kontakt z prowincją jest niestety dosyć słaby, informacji mamy mało. Z tego, co wiadomo, tam są największe kłopoty. Tam działacze "Solidarności" są traktowani najostrzej, tam też jest najmniejsza tradycja prowadzenia walki związkowej.

Czy możemy im pomóc? Z pozycji RKW nie da się dla nich wymyślić żadnych recept. W małych miastach, gdzie wszyscy się znają, są zupełnie inne warunki. Ludzie muszą tam sami wypracować metody działania, które sprawdzą się w ich sytuacji.

Warunki konspiracyjne są bezwzględne. Wymagają ogromnej inicjatywy i dużej samodzielności. O współpracy i ewentualnej pomocy można mówić dopiero wtedy, kiedy jakaś grupa im pokaże, że jest, utrwali swoją pozycję. Ci, którzy się w ten sposób przebili, współpracują z nami, otrzymują od nas pomoc. Mogą mieć zastrzeżenia, ale nie mogą powiedzieć, że są lekceważeni i pozostawieni samym sobie.

Red.: *Czy to znaczy, że RKW nie miało żadnego wpływu na kształt regionu?*

Z.B.: Nasz wpływ polegał głównie na tym, że skutecznie obronił się przed próbami centralizacji i hierarchizacji. Niezależność wszystkich komórek, wszystkich zespołów ludzi, które funkcjonują w Mazowszu, daje nam dużą dynamikę działań, stanowi siłę naszego regionu. I jeszcze jedno: w tego typu luźnych strukturach wypadki są dużo mniej niebezpieczne. Nawet jeśli kogoś aresztują, to raz zainicjowane działania są kontynuowane.

Red.: *Taka koncepcja działania RKW musi wywoływać krytykę...*

Z.B.: Krytykują nas ludzie, którzy mają inne koncepcje polityczne, ale rzeczywiście najczęściej docierają do nas zarzuty wypływające z nierealistycznej oceny naszych możliwości organizacyjnych. Oczywiście, można sobie wyobrazić, że nasza działalność jest lepiej zorganizowana. Tylko że za każdym razem zależy to od ludzi, którzy mogą i chcą działać. Jeśli pojawia się człowiek, który chce coś robić i robi to dobrze - możliwości RKW rosną.

Red.: *Co sądzisz o emigrujących i ujawniających się*

działaczach "Solidarności"?

Z.B.: Na każdy przypadek trzeba patrzeć indywidualnie. Wielu wyjechało, bo była to dla nich okazja, ale wielu dlatego, że ich przyciśnięto do muru i że było to dla nich i dla ich rodzin jedyną szansą normalnego życia. Najtrudniejsza była sytuacja śląskich działaczy. Oni byli najostrzej tępieni, najbardziej inwigilowani i najbardziej zmuszani do podjęcia takiej decyzji.

Podobnie wygląda problem ujawniających się. W głównych ośrodkach nie było ich wielu. Przede wszystkim ujawnili się ludzie w mniejszych miejscowościach. Tam ukrywanie się jest bardzo trudne, jeśli się chce to robić. Dla większości działaczy z tych ośrodków jakieś takie możliwości działania otworzyły się dopiero po ujawnieniu.

Red.: A czy ty myślisz o ujawnieniu się?

Z.B.: Nie, nie myślę o tym. A jeśli, to raczej o tym, jaka będzie moja sytuacja po ujawnieniu się, co wtedy będę robił.

Mówiłem już kiedyś, jak ważne doświadczenie wpływa z faktu, że udaje nam się przez tyle miesięcy ukrywać się. Po II wojnie światowej - w takich samych właściwie warunkach - nie udało się stworzyć skutecznej konspiracji. Przed grudniem 81 ukrywanie się to był kanał bez wyjścia, nikomu nie przychodziło to nawet do głowy. Dziś, jeśli po jakiejś wpadce ma się do wyboru: iść do więzienia czy ukryć się - decyzja jest prosta. Jest to ogromny dorobek ostatniego 1,5 roku. Teraz każdy, kto chce działać, a nie może jawnie - ma możliwość ukrycia się, co więcej - wie, że to się da zrobić, i wie jak. To jest bat, który będzie wisiał nad władzą już zawsze.

W tej chwili widzę różne drogi, bariery, przy których będzie można zastanawiać się, czy ujawnienie jest sensowne i realne. Dla mnie osobiście takim progiem będzie moment, kiedy zezwolą na rejestrację innych związków zawodowych w zakładach. Pluralizm związkowy jest podstawowym celem "Solidarności", nawet w podziemiu. Kiedy będzie możliwy, trzeba się będzie zastanawiać, czy nie czas, żeby zakończyć etap działalności podziemnej.

Red.: Mówisz o pluralizmie... Jak oceniasz niedawne porozumienie międzyzakładowe?

Z.B.: Jest to długa akcja polityczna. Władza oczywiście mówi o tym, że Wałęsa podpisał wspólny tekst ze swoimi przeciwnikami. Nie można mówić, że to byli przeciwnicy, to byli raczej nasi konkurenci, i nie jest tak, żeśmy z nimi nigdy nie siadali do wspólnego stołu obrad. Ten apel do Sejmu świadczy o tym, że współpraca nie tylko była, ale że rokowała nadzieje na przyszłość. W obecnej sytuacji jedyne, w czym się mogła uzewnętrznić, to wspólna koncepcja ruchu związkowego.

Red.: Okazało się - wbrew obawom, że działalność Wałęsy i TKK znakomicie się uzupełniają...

Z.B.: Lech ma zupełnie inne możliwości niż podziemie i wykorzystuje je świetnie. Po prostu świetnie.

Red.: Czy uważasz, że Wałęsa i TKK są partnerami dla władzy?

Z.B.: Przede wszystkim to władza, taka jaka jest w obecnej chwili, nie jest partnerem dla nas. Aparat partyjny robi swoje, bezpieka swoje, aparat wojskowy,

administracyjny, gospodarczy... Nikt nikogo nie słucha. Taka sama sytuacja panowała tuż przed 13.XII. To również był okres wielkiej anarchii w łonie całego aparatu władzy. Wprowadzenie stanu wojennego bardzo ich wszystkich zmobilizowało i podporządkowało. Teraz obserwujemy kolejny rozpad. Na tę ekipę nie można patrzeć jako na potencjalnych partnerów.

I jeszcze jedno. Przejawem postępującej anarchii jest faszyzacja metod walki. Za wiedzą i zgodą tej władzy codziennie bije się ludzi na komendach, w więzieniach. To ona jest politycznie odpowiedzialna za wtargnięcie bojówki do kościoła Św. Marcina i za śmierć Grzegorza Przemyska. To nie był przypadek. To była konsekwencja przyzwolenia zastosowania przemocy. Otóż taka władza nie może być naszym partnerem.

Red.: Jak widzisz zatem nasze perspektywy?

Z.B.: W krótkiej perspektywie nie spodziewam się zasadniczych zmian. Ale już w perspektywie kilku lat musi nastąpić przesilenie w stosunkach Wschód-Zachód. To będzie moment, w którym społeczeństwa tych krajów powinny zabrać głos, zademonstrować, jakich zmian oczekują. Choćby po to, aby sprawy nie pozostawić tylko do decyzji polityków.

Niezależna działalność i głos społeczeństwa nie mogły mieć i nie miały większego wpływu na grę polityczną na arenie międzynarodowej w okresie przedcarterowskim, kiedy walce o prawa człowieka nie przydawano tak wielkiego znaczenia jak dzisiaj. Prawdopodobnie po 13 grudnia wiele rządów zachodnich byłoby skłonnych zostawić nas na pastwę losu i popierać normalizację. To, że się tak nie stało, wynika nie z koncepcji polityków, ale ze społecznych nacisków w tych krajach.

Już nigdy sprawa praw człowieka nie zostanie zepchnięta na margines polityki. Dlatego zadaniem podziemia związkowego oraz wszystkich środowisk i warstw społecznych jest dotrzeć ze swą niezależną działalnością do tego momentu przełomowego, do tego przesilenia, w którym będą się decydować nasze losy. Jeśli w takim momencie będziemy w stanie przedstawić aspiracje społeczeństwa, musi to mieć wpływ na ostateczny kształt układów.

I nie trzeba będzie na to długo czekać. Wiem, że tego dożyję, jestem o to spokojny.

Red.: Jak sobie wyobrażasz tę wolną Polskę?

Z.B.: Wiem, że nie ma nic bardziej rozbrajającego niż hasło społecznego spokoju. Służy tylko dyktaturze i niczemu więcej. Dlatego niczego takiego nie chcę. Chciałbym, aby na scenie politycznej była ostra, zdecydowała walka, aby ścierały się wszystkie możliwe koncepcje. Chciałbym, aby była samodzielność gospodarcza, konkurencja i walka o rynek. To samo jeśli chodzi o organizacje społeczne: ferment umysłowy, wiece, spotkania, konflikty. Jednym słowem, pełna aktywność społeczeństwa. W takiej Polsce, Polsce swobód obywatelskich i związkowych, w Polsce praworządnej, z wolną prasą i rzeczywistymi reprezentacjami społeczeństwa będziemy bezpieczniejsi niż w Polsce generała, który głosi co prawda hasła spokoju, ładu i porządku, a nie jest w stanie zapanować nad własną milicją.

ROZPOWSZECHNIJCIE "WETERANA"



w Belwederze.



Setki tysięcy osób z flagami "Solidarność" wyszły na spotkanie Ojca świętego.

Z POLSKI I O POLSCE

ZAGROŻENIE KULTURY POLSKIEJ

Komunistyczne władze doprowadziły do ruiny polskiej gospodarki, ich działalność stała się także przyczyną spustoszeń w sferze moralności. Decyzje WRON, która przejęła władzę 13 grudnia 1981 roku, stanowią też ogromne zagrożenie dla polskiej kultury. Wypowiadał się na ten temat m.in. Zespół NSZZ "Solidarność" do spraw kultury. A oto treść dokumentu:

Zwracamy się do ludzi kultury, którzy stawiają sobie trudne pytanie: co dalej? Czy nadal manifestować sprzeciw wobec przemocy i bezprawia — czy też przerwać bojkot telewizji, radia i oficjalnych imprez kulturalnych? Stan wojenny został formalnie zawieszony, internowani wrócili do domów, skończyły się masowe publiczne protesty, ludzie są zmęczeni i wydaje się, że bojkotu utrzymać się nie da.

Stan wojenny trwa. Po piętnastu miesiącach nadziei nadzieję nam odebrano, stosując podstęp i przemoc na skalę trudną przedtem do wyobrażenia. W ciągu jednej nocy życie narodu i cała jego kultura zostały sparaliżowane: pozostawiono tylko wojskowe komunikaty, wojskowe piosenki i dwie gazety — wojskową i partyjną. Nie wolno nam o tym zapomnieć, taki jest bowiem fundament, na którym władze PRL chcą budować kulturę narodową. Od tamtych dni odebrano nam na stałe wiele ze swobód obywatelskich i samorządnych instytucji, zawieszonych — jak utrzymywała WRON — tymczasowo. Zlikwidowane zosały: Niezależny Związek Studentów, Stowarzyszenie Dziennikarzy Polskich, Związek Artystów Scen Polskich. Okradziono, zelżono i rozpedzono "Solidarność" — symbol nadziei Polaków.

Jest to wciąż ta sama władza, która już wielokrotnie kazała strzelać do polskich robotników: w roku 1956, roku 1970, roku 1981 i roku 1982 — władza namiestników i ich funkcjonariuszy. Zamknęła w więzieniach tych, co bronili robotników przed bezprawiem i tych, którzy w demokratycznych wyborach zostali ich przywódcami. Na jej rozkaz katuje się studentów i uczniów. Jej agenci pełniący funkcję dziennikarzy codziennie obrażają nas, naiwne kłamstwa podając za prawdę. Jej rzecznikiem — oficjalnym rzecznikiem rządu PRL — jest człowiek chory od nienawiści. Ministrem kultury został człowiek, który od chwili nominacji przystąpił do niszczenia tego, co w polskim życiu artystycznym niezależne.

W tej sytuacji nie ma miejsca na złudzenia. Wiemy, że partia, rząd i generałowie wojsk Układu Warszawskiego prowadzić będą nadal bezwzględna pacyfikację polskiego narodu. Nie ugną się, nie zawrą ze społeczeństwem żadnych prawdziwych i trwałych kompromisów. Potrzebują nas, ludzi kultury, abyśmy ułatwili im zadanie, stwarzając pozory normalizacji, przekonując ludzi, że bezprawie jest prawem, a zniewolenie wolnością. Mamy odbierać wolę oporu, tłumić

poczucie krzywdy, błahymi dziełami przynosić zapomnienie. To prawda: nie żądają, byśmy wszyscy sławili kata, a tylko byśmy się stali jego współpracownikami.

Bo pod tym względem także nie może być żadnych złudzeń. Wszyscy poznaliśmy już naturę "realnego socjalizmu". W grudniu 1981 spadły ostatecznie zasłony: zobaczyliśmy, jak dalece ustrój ten opiera się na zdradzie i przemocy. Po kolejnych kryzysach społecznych, jakie z winy władzy przeżywaliśmy od 1945 roku, środowiska twórcze udzielały tej władzy kredytu zaufania: Bierutowi, Gomułce, Gierkowi. Potem przychodził czas opamiętania, demaskowania — a jednocześnie czas rozpacz i wstydu.

Tym razem niczego nie trzeba już będzie demaskować. Nikt nie będzie miał prawa twierdzić, że nie wiedział, że został oszukany utopią "ustroju sprawiedliwości społecznej", uwiedziony romantyką rewolucyjną. Następnym razem nikt już nie uwierzy tym, którzy spróbują się pokajać i wytłumaczyć.

Argumentacja władzy zmieniła się. Jej rzecznicy nie mówią o dynamicznym rozwoju, lecz o powolnym wychodzeniu z kryzysu. Nie mówią o woli klasy robotniczej, lecz o potrzebie umocnienia państwa. Mamy dokonywać wyboru nie między prawdą i nieprawdą, sprawiedliwością i niesprawiedliwością, złem i dobrem, lecz między złem i "mniejszym złem". Mamy żyć w poczuciu, że to "mniejsze zło jest koniecznością". Na tym polega głoszony przez przedstawicieli władzy "realizm" polityczny, będący w gruncie rzeczy filozofią uległości, bezterminowej zgody na status poddanego. Wciąż powtarzają nam, że nie musimy kochać socjalizmu, musimy natomiast uznać arbitralne i wciąż zmieniające się zasady gry, które aparat władzy narzuca społeczeństwu w imię swoich interesów, nazwanych "ładem i porządkiem".

ZŁOŻ OFIARĘ

NA FUNDUSZ INWALIDZKI